

Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie sprawa Dreyfusa wywołała taki szum, jak w Kasrylewce. Powiadają, że w Paryżu też się zakotłowało. Pisały o niej gazety. Strzelali do siebie generałowie, a chuligani biegali po ulicach i różne rzeczy wyczyniali. Jedni krzyčili: „Vive Dreyfus”! Drudzy wołali: „Vive Esterhazy!” A, było nie było, Żydów jak zwykle mieszano z błotem. Jednak tylu zmartwień, cierpień i poniżeń, jakich doznali oraz które przeżyli Żydzi w Kasrylewce, Paryżanie do samego nadejścia Mesjasza nie przeżyją.

Oto, w jaki sposób i skąd Kasrylewka dowiedziała się o sprawie Dreyfusa, nie pytajcie. A skąd dowiedziała się o wojnie Anglików z Burami? A skąd Kasrylewianie wiedzą o tym, co się dzieje w Chinach? Co wspólnego ma Kasrylewka z Chinami? Może ze względu na swój „rozległy handel” ze światem? Herbatę Kasrylewka otrzymuje od Wysockiego z Moskwy¹). Ubrań z letniego, żółtego materiału zwanego tsze-sziu-tsza Kasrylewianie nie noszą. Nie na ich kieszeń. Dzięki Bogu, że mogą sobie pozwolić na noszenie latem peleryn z żaglowego materiału. W przeciwnym wypadku, paradowaliby, za przeproszeniem, w samych kałesonach i sycowym podkoszulku tałesowym. A jeśli lato dopisze, to i w tym stroju porządnie by się pocili.

Nadal jednak pozostaje pytanie, od kogo dowiedziała się Kasrylewka o sprawie Dreyfusa? Odpowiadam: od Zajdla. Otóż Zajdel, syn reb Szaji, to jedyny Żyd w mieście, który abonuje gazetę „Hacefira”. Od niego to dowiadują się Żydzi o wydarzeniach zachodzących na całym świecie. On mówi, a oni tłumaczą. On opowiada, a oni komentują. On czyta to, co tam jest napisane, a oni wyciągają wnioski. Najczęściej odwrotne. Oni bowiem lepiej rozumieją.

I oto pewnego dnia przychodzi Zajdel do bóżnicy i opowiada historię o tym, że w Paryżu odbył się właśnie sąd nad jakimś kapitanem Dreyfusem, który miał rzekomo wydać Niemcom jakieś ważne dokumenty państwowe. Ludzie słuchają, a słowa Zajdla jednym uchem do nich wpadają, a drugim wychodzą. I ni z tego, ni z owego rozlega się głos:

— Czego to dla zarobku Żyd nie zrobi?

Na to ktoś drugi dorzuca:

— A dobrze mu tak! Niech się Żyd nie pcha za wysoko! Niech się nie wtrąca w sprawy cesarzy!

Potem jednak, kiedy Zajdel przyszedł z nową wieścią, że cała ta sprawa okazała się zwykłym oszczerstwem, że zesłany na galery żydowski kapitan, jest Bogu ducha winny, że padł ofiarą intrygi kilku generałów, Kasrylewka wykazała nieco większe zainteresowanie. Od tej chwili Dreyfus był już „swój”. Stał się Kasrylewianinem. Gdzie dwóch się spotkało, tam on był trzecim.

— Słyszaleś?

— Słyszałem.

— Zesłany na zawsze!

— Na wieczne osiedlenie!

— I to za nic!

— Niecne oszczerstwo.

A kiedy w jakiś czas potem Zajdel zakomunikował im, że zanoszą się na nową rozprawę sądową, że znaleźli się porządni ludzie, którzy podjęli się udowodnić wszem i wobec, że cała ta heca, to jedna wielka pomyłka. Kasrylewka rozkołysała się na zupełnie inną modłę. Po pierwsze Dreyfus, to przecież „nasz człowiek”. Po drugie, jak to jest możliwe, żeby tam w Paryżu mogła zainstnieć taka wstrętna rzecz? Jakoś nieładnie. Jakoś nie do twarzy tym „francuzikom”. No i rozpętała się dyskusja. Ludzie zaczęli się zakładać. Jedni mówili, że nowa rozprawa dojdzie do skutku, drudzy byli wręcz odmiennego zdania. Po wyroku — twierdzili ci ostatni — klamka zapadła i nie ma odwołania.

A jak dalej potoczyła się sprawa? Ludzie przestali czekać, aż Zajdel wygramoli się ze swego mieszkania i pofatyguje się do bóżnicy, aby im zanieść nowe wieści o kapitanie Dreyfusie. Sami

zaczęli przychodzić do niego do domu. Potem wyczerpała się ich cierpliwość i razem z nim zaczęli udawać się na pocztę, aby odebrać gazetę i tam na miejscu ją przeczytać, przeanalizować, podyskutować i nawet się pokłócić. Oczywiście, że gadania przy tym było co niemiara. Pan poczmistrz nie omieszkiwał często dawać im do zrozumienia i to w sposób nader delikatny, że jego urząd, to nie przymierzając, nie żydowska bóżnica. Tu dla was, parchaci Żydzi — żadna tam żydowska bóżnica. Tu nie kahał, szachermacher!

Żydzi puszczały jego słowa mimo uszu. Słuchali go tak, jak Haman słucha grzechotu kołatek i grzechotek.²⁾ On ich łajał i gromił, a oni czytali sobie spokojnie „Hacefirę”³⁾ i rozprawiali o Dreyfusie. Zresztą nie tylko o samym Dreyfusie mówili w Kasrylewce. Za każdym razem dochodziła jakaś nowa osoba z tej sprawy. Najpierw był Esterhazy, potem Piequart, później ktoś zauważył, że pozostali generałowie noszą nazwiska kończące się na literę „i”. Wtedy inny Żyd zapytał:

— Dobrze, a co zrobisz z Boudefeferem?

— No wiesz, ten przecież źle skończył.

— Oby tak wszyscy skończyli!

Dwie osoby stały się przedmiotem miłości wszystkich mieszkańców Kasrylewki. Były nimi Emil Zola i Lambori. Za Emila Zolę każdy gotów był poświęcić swoje życie. Z miłością wymawiano jego imię. Gdyby się zjawił w Kasrylewce, całe miasto wyszłoby mu na spotkanie. Wszyscy nosiliby go na rękach.

— A co pan powie o jego liścikach?

— Istne perły, diamenty, brylanty!

Lamboriego również cenili wysoko. Ludzie zachwycali się jego mowami tak świetnymi, że tylko

palce lizać. Przejmowali się nimi w Kasrylewce dogłębnie. Co prawda nikt w Kasrylewce ich nie słyszał, ale, kierując się prostym rozumem, doszli do przekonania, że ten człowiek powinien dobrze przemawiać.

Nie wiem, czy najbliższa rodzina Dreyfusa w Paryżu wyczekiwała z takim utęsknieniem jego powrotu do domu, jak mieszkańcy Kasrylewki. Można śmiało powiedzieć, że byli z nim razem na statku powracającym z wyspy, że niemal fizycznie czuli, jak się kołyszą na morzu. Oto za chwilę rozszaleje się burza. Oto już wznoszą się fale, które zaczynają miotać statkiem. Aon, jak łupina to wznosi się, to gwałtownie spada w dół. I zaczynają się po cichu modlić: „Boże, władco świata, spraw aby choć cały i zdrowy dotarł do miejsca, w którym ma się odbyć wznowiona rozprawa sądowa. Otwórz oczy sędziom. Oświeć ich umysły, aby mogli odnaleźć prawdziwego winnego, aby cały świat mógł zobaczyć, jak wygląda nasza sprawiedliwość. Amen”.

Dzień, w którym nadeszła wiadomość, że Dreyfus szczęśliwie dotarł do domu, stał się w Kasrylewce prawdziwym świętem. Gdyby się ludzie nie krępowali, to by zamknęli wszystkie swoje sklepy w Kasrylewce.

— Słyszeliście?

— Dzięki Bogu!

— Ciekaw jestem, jak wyglądało jego spotkanie z żoną?

— A ja bym chciał widzieć, jak zachowały się jego dzieci, na wieść, że tato wrócił.

Kobiety przysłuchujące się tej rozmowie, schowały twarze w fartuszkach niby dla wytarcia nosa. Nie chciały, aby zauważono, że płaczą. I nie bacząc na wielką biedę, każdy Kasrylewianin odjąłby sobie od ust ostatni kęs chleba, aby tylko pojechać do tego Paryża i na własne oczy, choćby tylko z daleka, popatrzeć na to wszystko.

A kiedy sąd w Paryżu wznowił obrady, w Kasrylewce zawrzało tak, że tylko — „Boże, zmiłuj się”! Rozrywano gazety. O mało nie rozszarpano na kawałki samego Zajdla. Nikt nie myślał o jedzeniu. Nikt w nocy nie spał. Aby do rana dożyć. Aby do jutra. Aby do pojutrze. I tak przez wszystkie dni.

I nagle w mieście powstał prawdziwy popłoch. Szum, wrzask i ogólne zamieszanie. Koniec świata! Stało się to w dniu, kiedy dotarła wieść o postrzeleniu adwokata Dreyfusa — Lamboriego. Wszyscy byli wstrząśnięci.

— Dlaczego? Co za bandytyzm! I za co? Za nic! Gorzej niż w Sodomie!

Strzał wymierzony w adwokata Dreyfusa wzburzył umysły mieszkańców Kasrylewki. Kula z paryskiego rewolweru ugodziła w ich serca. To do nich strzelał zamachowiec.

— Boże, władco świata! — szeptali w błagalnej modlitwie — spraw, a Ty, jeśli chcesz, to potrafisz, aby adwokat został przy życiu.

I Bóg sprawił cud i adwokat pozostał przy życiu.

I kiedy nadszedł ostatni dzień procesu, Kasrylewkę ogarnęła gorączka. Ludzie miotali się, jak w febrze. Chętnie zapadliby na całą dobę w sen, aby obudziwszy się z rana móc się dowiedzieć, że z bożą pomocą Dreyfus wypuszczony już został na wolność! Atu jak na złość, nikt nie mógł oka zmrużyć. Przewracali się z boku na bok na swoich posłaniach. Toczyli nieustające boje z kasrylewskimi pluskwami i niecierpliwie wypatrywali brzasku dnia.

A kiedy się już rozwidniło, to natychmiast pospieszyli na pocztę. Ta jednak była jeszcze zamknięta. I brama do niej wiodąca też była zamknięta. Powoli rósł tłum wokół poczty. Wkrótce cała ulica wypełniona była po brzegi. Żydzi nie stali w miejscu. Chodzili tam i z powrotem. Ziewali, podkręcali pejsy i po cichu śpiewali — Alleluja!

I kiedy stróż Jarema otworzył bramę, wszyscy ruszyli hurmem. Jarema wściekł się i nie omieszkął im dać do zrozumienia, że tylko on jest tu gospodarzem. Otworzył gębę i obsypując ich gradem obelżywych słów, przepędził. Znalazłszy się znowu za bramą, postanowili czekać na przybycie Zajdla. Kiedy ten wreszcie przyszedł, odebrał swoją gazetę i przeczytał im najświeższą wiadomość o wymierzonym w Paryżu „pięknym wyroku” na Dreyfusa, powstał taki lament i taki krzyk, że o mało niebiosy nie pękły. A krzyk ten nie był wymierzony ani w sędziów, którzy wydali zły wyrok, ani w generałów, którzy złożyli fałszywe przysięgi, ani we „francuzików”, którzy tak nieładnie się zachowali, ale w Zajdla. Jednym głosem krzyczeli:

— Nie może tak być! Nie może być takiego wyroku na świecie! Przecież Niebo i Ziemia przysięgły, że Prawda, jak oliwa musi zawsze wypłynąć na wierzch. Co nam tu będziesz opowiadał bajeczki!

— Osły — odpowiada im biedny Zajdel — i podsunąwszy im pod nos gazetę niemal krzyczy — Zobaczcie, co tu jest napisane!

— Gazeta, chabeta — krzyczą kasrylewianie. — Jeśli nawet staniesz tak, że jedną nogą sięgniesz nieba, a drugą ziemi, to i tak ci nie uwierzymy. Tak nie może być. Nijak nie może być!

I co? Kto miał rację?